

ZNAK
WOLI I MOCY

DARIUSZ BALCERZYK



Święty Wojciech
wydawnictwo

Prolog

Misja wydawała się prosta niczym pchnięcie włócznią, cięcie mieczem lub cios toporem; wymagała też znacznie mniej wysiłku niż karczowanie lasu czy oranie pola. Należało zaatakować szybko i skutecznie, zrobić swoje, a następnie równie szybko i skutecznie zbiec. Nic trudnego, robili to już wcześniej po wielokroć.

Ciemność nie budziła w nich lęku. Przeciwnie, wierzyli, że sprzyja im tak, jak zwykła sprzyjać wszelkim demonom oraz złoczyńcom. Nie byli demonami. Po prostu czynili zło i dobrze się z tym czuli. Spokojnie zatem czekali w mroku na rozkaz. Gdy usłyszeli ciche „teraz”, sięgnęli po miecze skryte pod habitami i wynurzyli się z cienia – wyszli na spotkanie swym ofiarom.



Blask księżycyca z trudem rozpraszał czerń zimowej nocy. Od czasu do czasu wyzierał zza chmur i padał na cienką warstwę śniegu pokrywającego stromiznę dachu. Ześlizgiwał się po oblodzonej ścianie, by chyłkiem wkraść się przez okna do wnętrza budynku. Tnąc ciemność bladymi strumieniami, biegł wprost ku jasnemu kręgowi, który wokół monumentu tworzyły płomienie świec.

Kiedy wydawało się, że nic nie jest w stanie zmącić ciszy, która panowała w pomieszczeniu, gdzieś w jego głębi dał się słyszeć niewyraźny odgłos stąpania. Trwał nie dłużej niż podróż kropli wosku od knota świecy do profitki, gdzie zastygała ona pod wpływem chłodu. Wkrótce jednak kroki

zaszeleściły na nowo, a ich tajemne brzmienie wędrowało w ciemności, aż dotarło do miejsca, w którym księżycowa smuga kładła się mdłym światłem na stertę desek pod ścianą.

Postać w czarnym płaszczu i kapturze nasuniętym na głowę niczym ślepiec badała wyciągniętymi rękoma przestrzeń wokół siebie. Gdy natrafiła na deski, chwyciła tę, która leżała na samym wierzchu, i zrzuciła ją na posadzkę. To samo zrobiła z kilkoma następnymi, aż odsłoniła sporą szczelinę, z wnętrza której natychmiast wysunęła się dłoń. Przez chwilę rozczapierzone palce bezradnie szukały czegoś w powietrzu, wreszcie chwyciły ramię podane usłużnie przez człowieka w płaszczu. Ten mocno pociągnął ku sobie sterzącą rękę i z niemałym trudem wydobył spomiędzy desek identycznie ubraną postać.

Uwolniony ze szczeliny człowiek, gdy tylko stanął na nogach i złapał równowagę, natychmiast rozmasował zdrewniałe kończyny, po czym klepnął swego oswobodziciela w ramię. Razem podeszli do świetlistego kręgu, lecz nie od razu weszli w jego obręb. Przystanęli na kraju światła i cienia. Twarze obu tajemniczych postaci, choć skryte pod kapturami, były widoczne w blasku świec. Bez wątplenia należały do mężczyzn. Młodszego z nich wyróżniały jasne wąsy, na tyle grube, że wystawały poza obręb kaptura, i tak długie, że ich końce zwisały poniżej gładkiej brody. Imponował on także wzrostem i szerokimi barami, które odznaczały się nawet pod luźnym płaszczem. Drugi, który jeszcze przed chwilą ukrywał się pod stertą desek, był starszy i niższy, choć równie dobrze zbudowany. Jego lewy policzek szpeciła szrama, biegnąca od ust w stronę ucha schowanego pod kapturem.

Wyciągnęli noże i podeszli do kamiennego prostopadłościenu widniejącego pośrodku kręgu. Jego szare ściany lśniły odbitym światłem, a na wierzchniej płycie stał drewniany krzyż. Dopiero z bliska mogli ocenić wielkość konstrukcji,

która wyższemu z nich sięgała do piersi. I choć miał on nadzwyczaj długie ramiona, nie zdołałby sięgnąć obu jej boków.

Niższy mężczyzna strącił krzyż i przeciągnął dłonią po licu kamienia, aż do miejsca, w którym pod górną krawędzią przedniej ściany odnalazł małą wypukłość. Wbił w nią nóż, odłupał fragment zaprawy, pogłębił szparę. Jego towarzysz uczynił to samo na drugim krańcu ściany. Spojenie było twarde i dopiero po dłuższym czasie zdołali odsłonić szczelinę na całej jej długości.

Odłupywanie zaprawy na krótszym boku poszło mi-giem, natomiast tylna ściana stawiała twarde opór. Obu mężczyznom zmęczenie zaczęło dawać się we znaki: pot zalewał im oczy, oddechy stały się krótkie i płytkie. Uderzenia nadal były prędkie, lecz już nie tak precyzyjne jak wcześniej. Ostrza noży raz po raz ześlizgiwały się po ścianie, rysując jej gładką powierzchnię. Z czwartym bokiem nie mieli problemów – szybko dał za wygraną.

Osobnik ze szramą włożył palce w szczelinę. Usiłował podnieść wierzchnią płytę, lecz ani drgnęła. Spróbował drugi raz, bez rezultatu. Dopiero za trzecim podejściem uniósł ją nieco, a wówczas Wąsacz od razu wbił nóż w szparę. W tym momencie płyta opadła, przytrzaskując ostrze. Szrama w ostatnim momencie zdołał cofnąć palce, ratując je przed zmiżdżeniem.

Ponownie dźwignęli płytę i zaklinowany nóż, a właściwie trzonek z ułamanym ostrzem, upadł z trzaskiem na posadzkę. Mężczyźni zamarli, nasłuchując, czy hałas wywoła jakieś następstwa. Nic podejrzanego się nie wydarzyło, zatem Szrama pchnął kamienną tablicę, a Wąsacz pociągnął ją ku sobie. Gdy wystawała poza krawędź bloku, ujęli ją z obu krańców i złożyli na posadzce. Z wnętrza prostopadłościanu wydobyli żelazny pojemnik, niewiele mniejszy od kryjącej go kamiennej konstrukcji, zamknięty wiekiem z dwiema kłódkami.

Szrama podniósł złamany nóż i zaczął bić trzonkiem o jedną z nich. Po kilku uderzeniach kłódka rozleciała się. Druga także rozpadła się zadziwiająco łatwo. Mężczyzna uniósł wieko, następnie ostrożnie wyjął zawartość. Płótno, w które była owinięta, zahaczyło o skobel.

Wąsacz chwycił za materiał i szarpnął, lecz jedynie rozdarł fragment tkaniny. Odepchnięty przez Szramę chciał coś powiedzieć, powstrzymał go jednak wzrok kompana, w milczeniu więc obserwował, jak tamten cierpliwie odczepia płótno i ostrożnie kładzie tłumok na posadzkę. Spróbował odwinąć materiał, lecz Szrama chwycił go za ramię i pokręcił głową z dezaprobatą. Gestem dłoni nakazał mu zdjąć płaszcz i sam zrzucił własny. Zostali w koszulach, ściągniętych pasami, u których zwisały pochwy noży. Grube spodnie i skórzane buty uzupełniały skromne odzienie mężczyzn.

Szrama podciągnął koszulę i rozwinął sznur, którym był obwiązany wokół bioder. Okrył tobół płaszczami, zasznurował pakunek i zarzucił Wąsaczowi na ramię. Następnie wyjął świecę z najbliższego lichtarza i ruszył ku ciemności, z której niedawno się wynurzył. Wąsacz bez słowa podążył za nim.

Szli środkiem obszernej sali, z obu boków otoczonej kamiennymi podporami. Blask świecy wędrował przed nimi, na przemian, to po filarach, to po nieco od nich odleglejszych ścianach.

Szrama nagle zatrzymał się i chwycił Wąsacza za bluzę, jednocześnie oświetlając krawędź wykopu, który nieoczekiwanie wyłonił się z mroku przed nimi. Jeszcze krok i obaj spadliby w jego nieprzejrzaną otchłań. Obeszli dół, minęli stertę rozrzuconych przez Wąsacza desek i skręcili w lewo między filary, aż doszli do niewielkiej drewnianej furty, w którą Szrama dwukrotnie zapukał. Gdy tylko drzwi się uchyliły, zdmuchnął płomień świecy, przywarł twarzą do szpary i cicho gwizdnął. Tym razem furta otwarła się

szeroko. Za nią, w blasku księżyca, stał trzeci mężczyzna. W jednym ręku trzymał pęk kluczy, w drugim – nóż.

Szrama odetchnął głęboko, odsunął wycelowane w siebie ostrze i wyszedł na zewnątrz. Wąsacz opuścił budynek tuż po nim. Trzeci mężczyzna zamknął furkę, rozdał towarzyszom kożuchy, futrzane czapy oraz rękawice. Nałożyli je pospiesznie i wszyscy trzej ruszyli wzdłuż ściany budynku, Wąsacz dźwigając pakunek. Wkrótce zniknęli w mroku. Jedynie odgłos skrzypiącego śniegu trwał dłużej, ale i on stopniowo cichł, aż rozplynął się w ciemności.

Rozdział I

Klucz zachrobotał w zamku, a po chwili drzwi rozwarły się z przeciągłym jękiem, wpuszczając do wnętrza nieco powietrza. Nazwanie go świeżym wymagało sporej dawki dobrej woli lub utraty powonienia, a najlepiej obu naraz. Było zaledwie nieco mniej stęchłe niż to, które dotychczas wypełniało pomieszczenie.

Wraz z powietrzem do środka wdarło się jaskrawe światło. Ani wilgotny podmuch, ani nagły blask nie zbudziły mężczyzny śpiącego w kącie izby. Twarz oblepiały mu żdźbła słomy, służącej w tym miejscu za namiastkę pościeli.

– Chodźcie! Księżna chce was widzieć – zabrzmiał głos z wnętrza światła.

Śpiący nie zareagował.

– Budźcie się! No już, wstawajcie.

Natarczywe wołanie przyniosło jako taki skutek: mężczyzna uniósł głowę. Cofnął ją jednak czym prędzej, gdy poczuł żar na policzkach. Osłonił twarz dłonią, spróbował otworzyć oczy, lecz szybko zamknął je oślepiony blaskiem. Usiadł na pościeli, wytrząsnął słomę z włosów, ziewnął i jeszcze raz spojrzął przed siebie.

– Zbierajcie się! – usłyszał ponaglenie dochodzące z głębi skrzących się płomieni i z bólem przypomniał sobie, gdzie jest oraz z jakiego powodu. Z zakamarków pamięci wygrzebał też całą, raczej skromną, wiedzę o natręcie, który go obudził. Żadne z tych wspomnień nie sprawiło mu przyjemności. Skrzywił usta i rzucił w stronę światła:

– Czego?

Natręt, spowity ognistoczerwonym światłem, nie odpowiedział. Dopiero gdy uniósł żagiew nad głowę, ujawnił się w całej swej zwałistej postaci. Drugą ręką, w której trzymał klucze, szturchnął mężczyznę.

– No chyżo, ruszcie się! Loch to nie sypialnia, wyśpicie się po śmierci. Migiem! – niecierpliwił się.

– Mnie się nie spieszy.

– A powinno. Księżna was wzywa.

– Księżna? Ładne imię dla kata.

– Nie żartujcie. Nasza pani Emnilda pragnie was widzieć.

– A czegóż to pani Emnilda chce od skazańca?

– Nie moja sprawa! Jestem tylko strażnikiem. Mam was do niej przyprowadzić. Wstawajcie, żwawo! Księżna nie będzie czekać cały wieczór.

– Wieczór to, nie ranek?

– Tak wam pilno do śmierci? Nie martwcie się, spotkacie ją, nim wzejdzie słońce.

Strażnik zarżał niczym koń na widok grzejącej się klaczy. Rżałby zapewne dłużej, ale mężczyzna zerwał się z posłania, chwycił go za rękę i pociągnął ku sobie. Jednocześnie wystawił nogę, o którą strażnik, już tracący równowagę, potknął się i runął na słomiane leże. Nim padł, stracił też żagiew, wyrwaną mu z dłoni przez więźnia. Próbował wstać, ale pchnięty wylądował z powrotem na słomie.

Więzień zbliżył ogień do twarzy strażnika. Spoglądał na nią z zaciekawieniem, jakim obdarza się robaka przed podjęciem decyzji: zgnieść go butem czy rękawicą. Ostatecznie postanowił darować robakowi życie.

– Prowadź, skoro wydano ci rozkaz! Nie wypada, by księżna czekała – polecił. Na jego twarzy kwitł uśmiech, trochę zbyt szeroki, aby uznać go za szczery. Oczy pozostały zimne i czujne.

Strażnik odsunął się od ognia i powoli wstał. Ze strachu zapomniał, że ma nóż za pasem, a przeciwnik jest bezbronny, jeśli nie liczyć dopalającej się żagwi. Potulnie więc skierował się ku drzwiom, a gdy przechodził obok więźnia, ten odebrał mu broń.

– Żeby cię nie kusiło – wyjaśnił z tym samym sztucznym uśmiechem. Wychodząc, zatrzasnął drzwi. W izbie na nowo zapanowały ciemność oraz cisza.



– „...boisz się słabej, bezbronnej niewiasty, Jaromirze. Nie chcesz nawet spojrzeć na mnie?”

– Tak mu powiedziałaś? A on co na to?

– Nic. Poczzerwieniał, odwrócił się i odszedł.

– Raczej uciekł. Wielki jak tur Jaromir przestraszył się dziewczyny. A mówią, że jest odważnym wojownikiem. I kto teraz będzie nas bronił przed poganami?

Głośny śmiech wypełnił niewielką komnatę. Młode niewiasty przekomarzały się przy wspólnym haftowaniu. Siedziały na drewnianych zydlach u narożnego paleniska, które ogrzewało izbę.

– Chyba same będziemy musiały się bronić. Skoro Ludźmiła zdołała wystraszyć Jaromira, to i poganom damy radę, jeśli odważą się zapuścić w te okolice. Będziemy groźne jak te dzikie Amazonki, o których w Poznaniu opowiadali mnisi od biskupa Ungera. Podobno srogością i zapamiętaniem w walce przewyższają mężczyzn – zapewniła miedziano-włosa Dąbrówka.

– Mnisi? – zdziwiła się jedna z dziewcząt.

– Nie, te niewiasty, Amazonki.

– Nie dość że przewyższają, to jeszcze mają mężczyzn za niewolników, których trzymają tylko w jednym

celu – popisała się wiedzą Ludźmiła, lecz szybko zamilkła speszona, jakby zdradziła jakiś sekret.

– W jakim, w jakim? – dopytywały pozostałe.

– No, wiecie, trzymają ich dla swej przyjemności – odrzekła z ociąganiem.

– Dla jakiej przyjemności? – spytała panna o włosach złotych jak nić, którą zdobiła trzymaną w dłoniach tkaninę. Sądząc po okrągłej, prawie dziecięcej twarzy, była najmłodsza. Pozostałe wybuchły śmiechem.

– No, może nie dla przyjemności, a dla podtrzymania swego plemienia. – Ludźmiła zawstydzila się jeszcze bardziej. – Mężczyźni to wyłącznie niewolnicy lub jeńcy, których zdobyły w wyniku najazdów, potyczek czy wojen. Używają ich do płodzenia dzieci. Gdy któraś urodzi chłopca, zabija go. Wychowują tylko dziewczynki.

– Córkom swym nowo narodzonym podobno mleka z piersi odmawiają i karmią je jadłem z ugotowanych żab i węży – dorzuciła z przejęciem druga.

– Nie wierzę. Bajki opowiadacie – zaoponowała inna.

– Ależ to szczerą prawdą! Nie tylko mnisi z dalekich krajów wiedzą o tych Amazonkach. Starzy wojowie, jeszcze pod ojcem pana naszego walczący, powiadali o grodzie, który znajduje się gdzieś na ziemiach Prusów, wśród niedostępnych bagien. Ponoć same niewiasty w nim żyją. Są bardzo waleczne i podstępne. A niemowląt karmić piersią nie mogą, bo sobie piersi obcinają lub wypalają, dla większej sprawności w bitwie.

– Nie chcę być Amazonką! – krzyknęła z przejęciem najmłodsza z panien.

– Ani ja – zgodziła się jej sąsiadka.

– Bez piersi i bez mężów! Co to za życie? – Ludźmiła wywinęła usta z obrzydzenia. Jej deklaracja wzbudziła śmiech pozostałych.

Tylko jedna, starsza od nich, zachowała powagę. Dotychczas milczała, przysłuchując się. Teraz jednak uznała, że rozmowa podąża w nie najlepszym kierunku.

– Nie żartujcie! To grzech tak mówić. – Jej głos brzmiał tak mocno i zdecydowanie, że pannom śmiech uwiązał w gardłach. Spoważniały w okamgnieniu i zawstydzone zerkwały jedna na drugą. – Żyjemy nie dla mężów naszych ani dla własnego powabu, ale dla miłości Bożej. Dzięki niej i dla niej – mówiła dalej. – Z drugiej strony, nie ma w tym nic zdrożnego, jeśli niewiasta dba o to, by podobać się swemu miłemu. Byleby rezultat był lepszy, Ludźmiło, niż w przypadku twego Jaromira – dokończyła.

Gdyby nie wesołe spojrzenie, którym obdarzyła pannę, można by pomyśleć, że poważnie ją strofuje. Dziewczęta ponownie wybuchły śmiechem. Wszystkie poza Ludźmiłą.

– Ale ja... – próbowała wytłumaczyć, lecz wejście sługi przerwało jej wyjaśnienia.

Był łysawy, lekko zgarbiony, o niepewnym spojrzeniu. Na jego widok młódki nie zdołały powstrzymać się od chichotu, ale skarczone spojrzeniem najstarszej szybko spoważniały. Do niej to zwrócił się pokornie sługa:

– Jaśnie pani, zgodnie z waszym życzeniem stawił się Valgard.

– Niech strażnik go wprowadzi – rozkazała.

Sługa bezradnie przestąpił z nogi na nogę.

– Obawiam się, że to niemożliwe – wystękał.

– Niemożliwe?

– Strażnik jest w stanie... to znaczy... raczej nie jest w stanie, przynajmniej nie całkiem. Przepraszam, pani, ale nie może wprowadzić więźnia.

– Mówże jaśniej! Przyproceedził więźnia czy nie?

– Tak, to jest nie. Znaczy więzień przyproceedził strażnika.

– Co?

– Strażnik usiłował go obudzić i chyba nie do końca mu się udało. Właściwie obudził, ale Valgardowi bardzo się to nie spodobało. No i trochę poturbował strażnika. Tyle wiem od niego samego, bo więzień milczy.

– Zatem przyszli razem?

– Tak, ale...

– No to wprowadź Valgarda, bo gotów biedaka znowu sponiewierać. Strażnik niech czeka.

– Może lepiej wezwać drużynników?

– Wprowadźże go wreszcie! Mam tu wystarczające grono dzielnych obrońców, które dadzą radę niejednemu wojowi.

Sługa uklonił się i wyszedł. Panny wymieniły między sobą szybkie spojrzenia, na ich twarzach zaniepokojenie walczyło z ciekawością. W progu stanął młody mężczyzna: wysoki i barczysty. Jego blada, choć przybrudzona i pokryta kilkudniowym zarostem twarz o regularnych rysach wskazywała, że dopiero niedawno osiągnął wiek męski. Mógł mieć osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Był więc młodszy od niektórych dwórek księżnej, a od większości zaledwie nieco starszy. Fakt ten uspokoił dziewczęta. Pozostała ciekawość, którą okazywały bez skrępowania, wpatrując się uważnie w przybysza.

Jasne, falujące włosy bez ładu opadały mu na ramiona. Graniczące z zuchwałością spojrzenie niebieskich oczu zdradzało pewność siebie woją, którego sensem życia była walka. W konfrontacji z siłą spojrzeń grupy niewiast pozostawał jednak bez szans. Wzdrygnął się mimowolnie i spuścił głowę.

– Czy to miał być pokłon?

Głos księżnej był ciepły i jak na niewiastę dość niski. W jej słowach Valgard wyczuł ironię, zrozumiałą nawet dla kogoś, kto ostatnie dni spędził w lochu, czekając na śmierć. Mimo to podniósł wzrok i śmiało spojrział na Emnildę. Siedziała na prostym taborecie, nie różniącym się od tych, jakie

zajmowały jej dwórki. Na kolanach trzymała tamborek. Długie, szczupłe palce mocno dzierżyły obręcze, pomiędzy którymi naciągnięty był materiał, w połowie wypełniony fantastycznym haftem.

Była drobna, a delikatne rysy twarzy zdradzały szlachetność jej natury; z jasną cerą kontrastowały wielkie, czarne oczy, nad którymi unosiły się długie rzęsy. Krucze brwi łagodnie opadały ku nosowi, były niczym łuki okien książęcego *palatium*. Gdyby młodzieniec nieco lepiej znał się na kamiennych budowlach, zauważyłby, że oprawa oczu księżnej bardziej niż dwa pojedyncze okna przypomina *biforium*, okno podwójne. Żywiołem Valgarda było wszelako niszczenie, a nie budowanie. Znał tylko trzy rodzaje domostw: te, w których spał, te, w których się modlił, oraz te, które palił. Kwestią niewieściej urody również nie zaprzątał sobie dotąd głowy. Niemniej na piękno Emnildy zwrócił uwagę. Twarz księżnej była bowiem niezwykle powabna, nawet na tle jej młodszych towarzyszek, a tym bardziej jeśli porównać ją z twarzami niewiast, z którymi Valgard miał dotychczas do czynienia. Nie mógł oderwać wzroku od jej karminowych ust (choć zapewne określiliby je po prostu jako czerwone), kształtnie wygiętej dolnej wargi oraz delikatnie wydłużonego owalu podbródka. Białe policzki prawie zlewały się z cielistą barwą delikatnej chusty, ciasno zawiniętej wokół głowy i szyi.

– Pokłon! – Z zadumy wyrwało go ciche upomnienie sługi, który stał tuż za nim.

Valgard uklonił się zatem cokolwiek głębiej, niż wymagało tego dworskie obycie i niż zwykł to czynić w normalnej sytuacji. Ta tutaj wcale nie była dla niego normalna. Zachybotał się i o mało nie upadł. Zmieszany, ponownie złożył pokłon. Panny z otoczenia księżnej skwitowały niezgrabne ruchy młodzieńca z trudem powstrzymywanym chichotem.

– Cieszę się, że dworskie obyczaje nie są wam obce, a pobyt w ciemnicy nie pozbawił was ogłady. – Księżna gestem

odprawiła sługę, który bezszelestnie się wycofał, nie próbując nawet zamknąć za sobą drzwi. Valgard nadal wypełniał swą barczystą sylwetką wejście do komnaty.

– Pani, nie spodziewałem się spotkać już nikogo poza katem. Przed nim zaś niechętnie złożyłem pokłon.

– Jeśli to usprawiedliwienie, to nie brzmi przekonująco. W waszej sytuacji rozsądniej byłoby zjednywać sobie sprzymierzeńców, niż pomnażać szeregi wrogów. Zamknijcie drzwi i podejdźcie, bo stanie w przeciagu nie służy zdrowiu.

– Byłaby to wielka szkoda, gdybym zachorował i umarł przed egzekucją. – W głosie Valgarda zabrzmiał sarkazm.

– Nie o wasze dbam samopoczucie, a o swoje i tych pańien. – Lekkim skinieniem głowy wskazała na dwórki. – Widzę jednak, że własny los jest wam obojętny.

– Jest przesądzony. Winienem raczej myśleć o zbawieniu niż dbać o to, by w zdrowiu dożyć jutra.

– Proszę, proszę. Wystarczy kilka dni w ciemnicy, by wojownika przemienić w filozofa.

– Pani, czy wezwwałaś mnie tutaj, by naigrywać się z niešťczęśnika, który niezasłużenie będzie rano ukarany na gardle? – Valgard z wolna tracił pewność siebie, tym bardziej że nie wiedział, kto zacz ten filozof. Zgadywał, że to człowiek, którego życie jest jeszcze mniej warte niż jego własne.

– Łatwo szafujcie swoim gardłem, a może być wam jeszcze potrzebne. Nie dla rozrywki was przyjmujemy, ale w sprawie dotyczącej waszego życia. Jeśli jednak nad naszą łaskawość przedkładacie wizytę u kata...

– Będzie raczej wymuszona, bez przyjemności z mojej strony.

– Czy rzeczywiście do niej dojdzie, to się jeszcze okaże. Teraz wysłuchacie mnie w spokoju i w milczeniu.

Ostatnie zdanie Emnilda wypowiedziała tonem nieznośnym sprzeciwu. Siła głosu księżnej stanowiła przeciwieństwo jej delikatnej urody. Valgard nie spotkał dotąd

niewiasty, której wydawanie poleceń przychodziłoby tak łatwo i naturalnie. Nie był jeszcze żonaty.

– Sprzeniewierzyliście się rozkazom księcia i najechaliście ziemi Redarów. Tamtejszą ludność grabiliście i mordowaliście, a wsie paliliście. Postąpiliście zatem wbrew woli księcia, a co więcej, popełniliście również ciężki grzech. Zasłużyliście na katowski topór.

– To Redarowie wyprawili się na nas i...

– Milczeć, dopóki nie udzielę głosu!

Valgard ponownie spuścił głowę. Jego pewność siebie całkiem się ulotniła. Podobnie jak hardość, skrywająca żal za wszystkimi czynami, których mógłby jeszcze dokonać, gdyby nie zapowiedziana poranna wizyta u kata.

– Miłosierdzie jest cnotą, która otwiera nam bramy królestwa niebieskiego. Tak naucza Kościół, nasza matka i przewodniczka na tej ziemi. Błądzącym, którzy wyrażą skruchę, należy dać szansę poprawy, by i oni mogli dostąpić łaski Zbawienia. Szczególnie gdy są młodzi, porywczy i nie do końca wiedzą, co czynią. – Księżna zawiesiła głos, widząc opuszczoną głowę Valgarda, po czym dodała: – Wiedziona nakazem miłosierdzia wobec błądzących, prosiłam usilnie męża mego, a waszego pana, o darowanie wam życia. Choć nie było to łatwe, udało mi się zmiękczyć twarde serce księcia i złagodzić jego surowość. Przystał na to, abyście mogli błagać go o łaskę. Tylko od was zależy, czy przekonacie waszego pana, że jesteście warci jego względów.

Valgard stał bez ruchu. Nie od razu pojął sens tego, co usłyszał. Kiedy już zrozumiał, wydukał jedynie:

– Pani, bardzo dziękuję. Bardzo. Bardzo.

Kilkakrotnie powtórzył podziękowanie, jakby chciał przekonać Emnildę o swej wdzięczności, zaraz padł na kolana, chwycił rąbek sukni księżnej i ucałował.

– Macie we mnie oddanego sługę. Wasze miłosierdzie słać będzie po kres swych dni. – Prawie wykrzycał zapewnienie.

– Pohamujcie swój entuzjazm. Jeszcze nie uciekliście katu. Księżę jest teraz w łaźni. Pójdziecie do niego, padniecie mu do stóp, co, jak widzę, dobrze opanowaliście, i będziecie błagać o wybaczenie oraz o darowanie kary. Dzisiejsze polowanie było nadzwyczaj udane, więc Bolesław jest w dobrym humorze. Wykorzystajcie swą szansę. Tylko nie próbujcie całować księcia. Nie zrobi to na nim wrażenia, zwłaszcza w łaźni.

Valgard przysięgłby, że zauważył figlarne ogniki w spojrzeniu czarnych oczu księżnej. Może było to złudzenie, wywołane blaskiem bijącym od paleniska?

– Wezwij nieszczęśnika, co miał pilnować tego woja – poleciła Emnilda jednej z panien.

Ta ukloniła się i wyszła z komnaty, by wrócić do niej w towarzystwie strażnika, który już u progu zgiął się wpół i tak znieruchomiał ze spuszczoną głową. Nie śmiał podnieść wzroku ani karku.

– Odprowadzisz więźnia do księżęcej łaźni – rozkazała księżna.

– Ale on powinien...

– To rozkaz! Księżę chce go widzieć.

– Czy nie lepiej wezwać kilku ludzi? Ten tu jest...

– Więzień nie będzie stawiał oporu. Prawda? – Z tym ostatnim pytaniem zwróciła się do Valgarda.

– Przysięgam na me życie – zapewnił księżną.

– Nie należy do was, jest własnością księcia, więc dbajcie o nie. Idźcie już, mamy ważniejsze sprawy niż ratowanie waszego gardła.

Emnilda uniosła tamborek, dając tym samym znak, że rozmowa skończona. Panny bez zwłoki poszły za jej

przykładem. Mężczyźni skłonili się i wycofali, żegnani śmiechem.

Valgard był zbyt poruszony, by zauważyć długie spojrzenie, jakim odprowadziła go jedna z dziewcząt.



Godzina nie była jeszcze późna, ale ciemności już dawno opanowały gród. O tej porze roku zmierzch zapadał wcześniej, noc trwała długo, a krótki dzień nie rozpieszczał nadmiarem światła.

Zima tysięcznego roku była wyjątkowo sroga. Przyszła prędzej niż zwykle i nic nie wskazywało na to, by wpadła tylko na chwilę. Za dnia niebo przesłaniały ciężkie kotary chmur, przez które promienie słońca przebijały się z trudem i niezwykle rzadko; noce były mroźne i nieprzeniknione, a księżyc wraz z gwiazdami przeważnie krył się w mroku. Śnieg zaś padał często i gęsto. Nawet najstarsi nie pamiętali tak ponurego czasu. Tej srogości nie dałoby się odmienić ani krzykiem, ani specjalnie czynionym hałasem, jak to zwykli byli robić przodkowie dla odpędzenia chmur. Podobno niegdyś ten zabieg był skuteczny. Dziś już nie pomagał. Widocznie nowy Bóg nie był taki strachliwy jak stare bogi. Co gorsza, kupcy przybywający z dalekich krain, w których słońce zwykle dłużej i mocniej udzielało swych łask, opowiadali, że tam również panuje zimno, jakiego dawno nie doświadczyli.

Wszystko to miały być widome znaki nadciągającego końca świata. Spodziewano się (z radością lub – częściej – ze strachem), że nadejdzie on w tym wyjątkowym roku, przypadającym równo tysiąc lat od narodzin Pana. Kapłani chrześcijańscy, zagadywani w tej sprawie, niczego nie potwierdzali ani niczemu nie zaprzeczali. Kazali modlić się żarliwie, na wszelki wypadek.

Valgard nie zaprzętał sobie głowy sprawami, na które nie miał wpływu. Stojąc w progu książęcego *palatium*, cieszył się widokiem nieba, a chłodny wiatr sprawiał mu przyjemność. Nie wywoływał strachu przed końcem świata, był raczej dowodem na tego świata trwanie.

Młodzieniec wciągnął do płuc haust powietrza. Czuł, jak zimny strumień sączy mu się przez gardło i zalega w płucach. Wraz z nim wchłonął unikalną dla lednickiego grodu mieszaninę zapachów, w której dym palenisk łączył się z wilgocią jeziora otaczającego wyspę, wzbogaconą o woń ryb sprawianych na brzegach ostrowu. Lubił tę kompozycję. Przypominała mu miejsce, które odwiedził za szczenięcych lat i o którym często potem śnił. Tam jednak powietrze nasycone było słonym smakiem, którego na lednickiej wyspie brakowało.

– Idziemy! – Strażnik próbował odzyskać władzę nad więźniem. Pchnął go, a sam ruszył przodem, trzymając żagiew nad głową. Valgard zgodnie z obietnicą nie stawiał oporu.

Palatium, zbudowane z granitowych oraz wapiennych okrzesków spojonych gipsem z domieszką tartej ceramiki, a od zewnątrz pokryte różowym tynkiem, górowało nad wyspą. Wielkie murowane budynki stanowiły rzadki widok w tutejszym krajobrazie, przez co wzbudzały w tubylcach jednocześnie strach i szacunek. Były bowiem własnością księcia lub chrześcijańskiego Boga; obu zaś należało się lękać i wystrzegać ich gniewu. Valgard szanował księcia, a z Bogiem wolał nie wchodzić w zwadę.

W *palatium* mieszkali obaj: Bolesław i Bóg. Każdy z nich miał tu swoją część. Zachodnia, należąca do księcia, była obszerna, dwupiętrowa i z wieloma komnatami. W jednej z nich, na piętrze, Emnilda przyjęła Valgarda. W innej, która mieściła się znacznie niżej, młody woj spędził ostatnie dni i noce, czekając na śmierć.

Wschodnia część *palatium* należała do Boga. Wzniesiono ją na planie krzyża równoramiennego, choć zapewne oprócz nielicznego duchowieństwa i pary książęcej mało kto rozumiał to pojęcie. Dla większości wyglądała jak zlepek masywnych wież. Centralną, najwyższą, wieńczył dach czterospadowy. Trzy przylegające do niej od północy, południa i wschodu były niższe, przykryte dachami dwuspadowymi. Od zachodniej zaś strony zamiast kolejnej wieży znajdowało się przejście łączące obie części *palatium*. Gdzieś tam ściany budynku popękały już wskutek wilgoci panującej na wyspie. Dla Valgarda takie rysy stanowiły obrazę majestatu zarówno księcia, jak i Boga. Gdyby to od niego zależało, ci, którzy kładli tynk i nie zadbali o jego trwałość, już dawno straciliby dłonie. Valgard nie uważał takiej kary za nazbyt surową, raczej za łaskawą. Kto inny po prostu skróciłby ich o głowy. A tak stanowiliby żywą przestrogę dla innych budowniczych, aby bardziej przykładali się do pracy.

„Zaiste, wielki musi być Bóg, który nakazał zbudować sobie tak skomplikowane domostwo”, pomyślał Valgard, zadzierając głowę. Jeszcze bardziej zastanawiało go, dlaczego obok północnej bramy grodu wzniesiono drugi kościół, choć znacznie prostszy i mniejszy niż ten w pałacu. Po co Bogu dwa domostwa w jednym grodzie? Czyżby w tym drugim odpoczywał od towarzystwa księcia? Coś musiało być na rzeczy, skoro – jak Valgard dobrze pamiętał ze swej bytności w Poznaniu – w tamtym grodzie Bóg również jest czczony w dwóch domach: jednym przylegającym do siedziby księcia i drugim, oddalonym od niej na tyle, by codzienne sprawy Bolesława, jego gniew i krzyki nie zakłócały Bożego spokoju.

Obeszli *palatium* i skierowali się ku stojącym nieopodal chatom. W sąsiedztwie wielkiej kamiennej budowli

wyglądały one niczym gniazdka małych ptaszków. Strażnik zatrzymał się przed jedną z nich, strzeżoną przez dwóch wojów.

– Przeprowadziłem więźnia – zaraportował.

Wartownicy zmierzyli przybyszy wzrokiem i jeden z nich bez słowa zniknął za drzwiami. Gdy powrócił, ciągle milcząc, wysunął wskazujący palec w stronę więźnia, a następnie kciukiem pokazał na otwarte drzwi. Valgard już miał przekroczyć próg, gdy nagle wyciągnął spod bluzy nóż i oddał go strażnikowi. Na widok broni wojowie błyskawicznie zastawili wejście.

– Spokojnie! Tylko zwracam mu jego własność – wyjaśnił.

Strażnik szybko potwierdził jego słowa, ale przezornie się cofnął. Wartownicy spojrzeli po sobie i odstąpili od drzwi, lecz dłonie na wszelki wypadek nadal zaciskali na głowicach mieczy. Ten, który wskazał Valgardowi wejście, wszedł za nim.

– Rozbieraj się! – polecił, gdy stanęli w izbie.

Panującą wokół ciemność rozjaśniał blask pojedynczej świecy osadzonej w lichtarzu na jednej ze ścian. Naprzeciw wejścia znajdowały się drzwi, zza których dochodził gwar rozmów, przerywanych od czasu do czasu głośnym śmiechem.

Valgard zdjął kurtę, ściągnął sorokę i lniane giezło, buty oraz spodnie. Został nagi, jedynie piersi zdobił mu srebrny, misternie dekorowany naszyjnik, z którego zwisał okazały wisior w kształcie odwróconego młota z dwustronnym bi-jakiem. Nasadę jego trzonu zdobiła ptasia głowa z ostrym, zakrzywionym dziobem.

Wartownik wskazał na drzwi.

– Wchodź!

Valgard zawahał się, ale wykonał polecenie. U wejścia buchnęła mu w twarz gorąca para. Wgryzała się w oczy

oraz w płuca, nic przez nią nie widział, nie mógł też złapać oddechu. Mimo to wszedł do izby. Usłyszał za sobą odgłos zamykanych drzwi. Gwar, który przed chwilą rozbrzmiewał tak donośnie, naraz ucichł. Valgard stał oślepiiony i bez tchu, nie wiedząc, co powinien uczynić. Dopiero gdy para uleciała, mógł cokolwiek zobaczyć.

Łaźnia okazała się większa, niż się spodziewał. Ściany z grubo ciosanych dębowych bali uszczelnione zostały mchem, podłogę wyłożono gładkimi otoczakami. W rogu żarzyło się palenisko, obok którego stały dwie drewniane konwie z wodą. Nad nimi, w ścianie, znajdowało się niewielkie okno zamknięte na skobel.

Na jednej ławie siedziało czterech mężczyzn. Byli nadzy i spoglądali na przybysza z zaciekawieniem. Dwóch z nich, księcia Bolesława oraz jego palatyna Dzierżykraj, Valgard rozpoznał. Pozostałych widział po raz pierwszy. Ukłonił się niezgrabnie, próbując utrzymać równowagę na mokrej podłodze.

– Otwórz okno – polecił mu książę, wskazując drzwiczki w ścianie.

Pod wpływem jego chrapliwego głosu młodzieńcowi zrobiło się zimno, choć jeszcze przed chwilą czuł pot spływający po karku. Podeszedł do ściany, odciągnął skobel i uchylił niewielkie skrzydło okienne. Zimne powietrze ochłodziło izbę w okamgnieniu.

Bolesław, który siedział na wprost okna, pochylił się do przodu i oparł dłonie na udach. Był tęgim mężczyzną w sile wieku, o sinoczerwonej, nabrzmiałej od gorąca twarzy. Uwagę Valgarda przyciągnęła kropelka potu, która spod jasnych, zlepionych na czole włosów księcia spłynęła po jego mięsistym nosie. Zatrzymała się na czubku, usiłując odwlec moment, w którym nieuchronnie spadnie w otchłań sumiastych wąsów. Jej opór nie trwał długo. Oderwała się od nosa

i zniknęła poniżej w gęstym zaroście. Cudem przedarła się do górnej wargi, by tam zakończyć swój krótki żywot. Książę wysunął język i oblizał usta.

– Co mamy zrobić? – zapytał ni to siebie, ni to Valgarda, ni to swych towarzyszy. – Zasłużyłeś na śmierć.

Teraz Valgard nie miał wątpliwości, kogo dotyczył osąd.

– Pogwałciłeś moje rozkazy. Najechałeś ziemie Redarów, z którymi obecnie żyjemy w pokoju. Spaliłeś ich wioskę, wymordowałeś mężczyzn, a niewiasty oraz dzieci porwałeś i sprzedałeś Sasom w niewolę. Wszystko to, gdy przysiągłem pokój z plemionami Wioletów. Zhańbiłeś mnie i zdradziłeś!

– Nie zdradziłem was, panie. To nie ja wszcząłem walki. To oni zaczęli... – Valgard usiłował się wytłumaczyć.

– Przestań! „To nie ja, to oni”, tłumaczenie godne pacholąt, a nie wojów.

– Ale tak było.

– Opowiadaj. Tylko mów prawdę.

– Wystaliście mnie, książę, bym pilnował spokoju na krańcu waszych włości. Robiłem zatem to, coście mi nakazali. Troszczyłem się, aby nie dochodziło do zatargów z poganami, nie przekraczałem granicznej rzeki, nie prowokowałem walk. Aż nadszedł dzień Narodzenia Pańskiego, gdy na wasze ziemie, panie, najechał oddział Redarów pod wodzą Tęgomira.

– Tęgomir? – wtrącił Dzierżykraj. – Ten Tęgomir...?

– Ten właśnie – potwierdził szybko Valgard. Nawet w słabym oświetleniu łaźni było widać, że jest poruszony.

– Skąd wiesz, że to byli Redarowie? Mieszkają daleko na północy. Może to jacyś inni Wieleci, siedzący bliżej nas: Wkrzanie, Rzczanie albo Morzycy? – zapytał Bolesław.

– To byli Redarowie – zapewnił go Valgard. – Napadli na osadę po naszej stronie rzeki. Wymordowali większość mieszkańców. Resztę, głównie niewiasty i dzieci, uprowadzili, a gospodarstwa spalili. Kilku naszym udało się zbiec.

Dotarli do stanic i wszystko mi opowiedzieli. Dokładnie opisali przywódcę bandy. Miał bliznę na twarzy.

– Nie tylko Tęgomir ma bliznę – znów wtrącił Dzierżykraj.

– Była taka, jak opisał ją Audun. Szeroka, od ust do lewego ucha. Zarządziłem pościg, lecz nie zdążyliśmy ich dopaść, nim wrócili za rzekę. Przeprawiliśmy się więc i ścigaliśmy ich dalej. Uciekali niespiesznie, pewni, że nic im już nie grozi. Rozbili obozowisko na noc, a my zatrzymaliśmy się nieopodal. O świcie podkradliśmy się; nie wystawili straży, więc dałem sygnał i wyskoczyliśmy. Pierwszy dobiegłem do jednego z namiotów, znalazłem w nim naszych ludzi. Byli tam... powiązani i zarżnięci jak bydło. Niewiasty i dzieci, w każdym namiocie po kilkoro. Usta mieli zapchane grudkami ziemi, piachem, mchem, by nie krzyczeli, gdy ich mordowano. Po Redarach i Tęgomirze ani śladu.

– Woleli uciec z łupami zrabowanymi w osadzie niż walczyć o zachowanie niewolników, z którymi musieliby wędrować daleko, by ich sprzedać arabskim kupcom. Sasi nie chcą kupować chrześcijan. To grzech – odezwał się jeden z dwóch mężczyzn nieznanych Valgardowi. Był starszy od Bolesława, ale ciało miał wciąż czerstwe. Rzadkie włosy zlepły mu się na czole, tworząc poskręcane strąki. Szczupła twarz o wąskich ustach i oschłe spojrzenie nie wzbudzały sympatii.

– Musieli wiedzieć, że ich ścigamy, a ciągnąc ze sobą jeńców, nie mieli szans odskoczyć. – Młodzieniec zgodził się jednak z nieznanym. – Dookoła rozciągał się bór, w pobliżu nie było żadnego grodu, w którym mogliby się schronić. Naszych pogrzebaliśmy na miejscu. Tęgomira nie goniliśmy. Zapewne odjechał już daleko.

– I postanowiłeś się zemścić. – Książę bardziej stwierdził fakt, niż zadał pytanie.

– Zasadziliśmy się w kraju Redarów, przy trakcie wiodącym na północ, do Radogoszczy, ich głównego grodu. Tak daleko nikt się nas nie spodziewał. Wyróżniliśmy dwa oddziały, które się napatoczyły, i zawróciliśmy na południe. Tam spaliliśmy redarską osadę. Tych, co przeżyli, sprzedaliśmy po powrocie kupcom saskim, którzy wracali z Kołobrzegu. Nie mieli skrupułów, by kupić od nas pogan.

Bolesław wstał i przeciągnął się. Wyprostowany, twardo stojący na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi o biodra, zdawał się wypełniać sobą całą izbę. Nawet widoczna otyłość nie umniejszała jego mocy, zarówno fizycznej, jak i duchowej. Nie było w nim nic z kluchowatości charakterystycznej dla grubych mężów. Wielki brzuch, który u kogoś niższego sprawiałby wrażenie worka trocin przyczepionego do ciała, u niego zdawał się naturalnie komponować z sylwetką, a nawet dodawać jej powagi. Z postawy księcia było dostojęństwo, dzięki któremu przypadkowy gość, nieznający obecnych w łaźni mężczyzn, bez trudu wskazałby ich przywódcę.

Książę bacznie obserwował Valgarda spod ciężkich powiek. Nie spuszczać z niego oka, podszedł do okna i zatrzaskał je. Podniósł konew z wodą, jakby to było piórko, i chlusnął w palenisko. Para buchnęła pod sufit i znów wypełniła izbę. Odstawił naczynie, sięgnął po leżące obok brzozy różgi i machnął nimi kilka razy, sprawdzając ich sprężystość. Próba musiała wypaść zadowalająco, gdyż raptownie odwrócił się i zanim Valgard zdał sobie sprawę z zamiarów księcia, ten z całej siły zdzielił go w plecy.

– Tobie, właśnie tobie, synowi Auduna, nie godziło się popełniać takich błędów! – krzyczał, chłuszcząc go. – Działalesz głupio i nieodpowiedzialnie! Zachowałeś się niczym pierwszy lepszy smarkacz, a nie dowódca moich wojów.

Twarz Bolesława stała się jeszcze czerwiejsza. Przerwał dla nabrania tchu. Strząsnął pot z czoła i kontynuował:

– Od dowódców wymagam nie tylko zręczności w walce, ale i myślenia, przewidywania konsekwencji własnych decyzji. Inaczej nie są oni warci tego, by dowodzili moimi ludźmi. Widocznie pomyliłem się, stawiając cię na czele drużyny takich samych dzieciaków jak ty i nie dając ci doświadczonego woja do rady. Liczyłem, że lepiej się sprawisz.

Raz jeszcze uderzył Valgarda w plecy. Młodzieniec nie bronił się, nie wykonał żadnego uniku. Wyprostowany przyjmował kolejne razy.

– Najazd Tęgomira, jeśli w ogóle był tam Tęgomir, mógł być zasadzką, w którą dałeś się wciągnąć. Prowokacją, by rozpętać wojnę teraz, gdy oczekujemy cesarza Ottona – powiedział ksiązę.

– Nie pomyślałem o tym... – przyznał Valgard.

– To błąd! Nie, to nie błąd. To głupota!

Nie przerywając chłosty, zwrócił się do swego palatyna:

– Przypomnij mi słowa biskupa Ungera o różnicy między dzieckiem a mężem.

– Dostojny Unger cytował świętego Pawła, który pisał, że gdy był dzieckiem, mówił i myślał jak dziecko, a gdy został mężem, wyzbył się tego, co dziecięce – gorliwie odpowiedział Dzierżykraj.

– W y z b y ł się, rozumiesz? Wyzbył się, bo mężowi nie uchodzi czynić tego, co robi małe dziecko. A tak właśnie się zachowałeś.

Bolesław znów wziął zamach. Książęca ślina zmieszana z potem obficie spryskała Valgarda. Uniesione ramię zawisło w powietrzu i opadło, nie wymierzając kolejnego ciosu.

– Ze względu na twe wcześniejsze zasługi, a przede wszystkim na pamięć twego ojca, który był dzielnym drużynikiem i wiernym sługą księcia Mieszka oraz moim, daruję ci

życie – zdecydował Bolesław już znacznie spokojniej, niemal uroczyście, jak zwykł oznajmiać swą ostateczną wolę. – Kara cię jednak nie minie, podobnie jak twych ludzi, których powiodłeś do kraju Redarów. Nad granicę nie wróćcie. Tam potrzebuję kogoś bystrzejszego, kto nie da się sprowokować i nie wywoła teraz wojny.

Valgard nadal stał nieruchomo. Na piersiach palił go naszyjnik rozgrzany gorącym panującym w łaźni. Skulił się, dzięki czemu łańcuch zwiśł swobodnie, nie dotykając skóry. Młody drużynnik wyglądał, jakby wiadomość o darowaniu życia miał za nic. I tak było. Wolałby zginąć, niż dalej wysłuchiwać zarzutów Bolesława. Tym bardziej że jasno ujrzał, jak wielki błąd popełnił, wdając się w walkę z Redarami. Mimo wszystko nie umknął jego uwadze fakt, że księżę, mówiąc, iż nie chce wojny, użył słowa „teraz”.

– Dla ciebie i twych ludzi mam inne zadanie, bardziej odpowiednie dla kogoś, kto wciąż jeszcze się uczy postępować jak dojrzały mężczyzna. Wczoraj do Lednicy zjechały wozy z darami cesarza Ottona dla świątyni w Gnieźnie. Wyprzedziły imperatora o kilka tygodni, abyśmy zawczasu mogli ozdobić jego łaską miejsce spoczynku męczennika. By cesarz, pogrążony w modlitwie u grobu Wojciecha, mógł cieszyć się swą szczodrobiwością.

Bolesław podniósł drugą konew. Trzymając ją oburącz nad głową, wylał jej zawartość na siebie. Woda chlusnęła. Spływając po książęcej twarzy, przez pierś, brzuch, biodra i krocze dotarła do nóg. Jej orzeźwiająco zimno sprawiło Bolesławowi wyraźną przyjemność. Stał z zamkniętymi oczyma, czekając, aż ostatnie strużki ściekną na podłogę. Z chwili milczenia władcy skorzystał Dzierżykraj, który pouczył Valgarda:

– Wiedz, że te bezcenne dary stanowiąc będą ozdobę nowego ołtarza, który stanie nad grobem Wojciecha. Są

wśród nich wspaniałe, szczerozłote płyty. Frontowa, wykonana przez najznamienitszych italskich kamieniarzy, jest wysadzana drogimi kamieniami i kryształami. Ozdobiono ją misternymi płaskorzeźbami przedstawiającymi mękę świątobliwego sługi Bożego. To trzysta funtów czystego złota. Jest tam również wielki krzyż ze złota, który pan nasz – Dzierżykraj skłonił się przed Bolesławem – kazał wykonać w dalekiej Italii. Waży ten krzyż trzykroć tyle, ile sam książę. Zaiste, jest więc ogromny.

Jeśli palatyn chciał przypodobać się swemu panu, to nie uczynił tego zbyt zręcznie. Sądząc po sylwetce Bolesława, krzyż rzeczywiście musiał sporo ważyć. Valgard uśmiechnął się, co wychwycił i dobrze zrozumiał książę. Posłał Dzierżykrajowi spojrzenie, z którego trudno było wyczytać aprobatę.

– Zbierzesz swych ludzi i rano udacie się do Gniezna. Zawieziecie dary do świątyni. Na miejscu zgłosisz się do biskupa Ungera, który nadzoruje przygotowania do wizyty cesarza. Jest tam również brat świętej pamięci Wojciecha, Sobiesław, którego przygarnęliśmy, gdy jego rodzinę wymordowano w Libicach z rozkazu mego wuja, znaczy księcia praskiego. Wraz ze swymi ludźmi pilnuje porządku w grodzie. Będziesz podlegał jego rozkazom. Ty i twoi drużynnicy odpowiadacie za bezpieczeństwo darów, świątyni oraz grobu. Zrozumiałeś?

– Tak jest, panie – odrzekł Valgard, choć trudno mu było pogodzić się z myślą, że został zdegradowany do roli zwykłego wartownika. On, który do niedawna zawiadywał grodem, miał pod sobą setkę wojów, decydował o życiu i śmierci wielu ludzi, prowadził walki i zwyciężał wrogów...

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął książę. – W drodze towarzyszyć ci będzie Stojgniew ze swymi pieszymi.

Bolesław wskazał na mężczyznę, który już wcześniej wtrącił się do rozmowy, gdy mowa była o wydarzeniach

na ziemi Redarów. Jego nieruchoma twarz, podobnie jak na wpół przymknięte oczy, nie zdradzała żadnych emocji. Valgard był przekonany, że mężczyzna śpi, przez co wydał mu się jeszcze mniej sympatyczny.

– Stojgniew przejął wozy od cesarskiej eskorty, w Poznaniu uzupełnił dary Ottona o nasze, wykonane przez sprowadzonych w tym celu złotników, i wiezie je do Gniezna. To oddany mi, dzielny i prawy wojownik, który służyć ci będzie radą oraz doświadczeniem. Pilnie go słuchaj. Bywały jest, zna świat, możesz wiele się od niego nauczyć.

– Dziękuję za okazaną łaskę. Nie zawiodę was, panie – odrzekł Valgard przez zaciśnięte zęby. Miał już pewność, że nie lubi Stojgniewa.

– Idź teraz do swych ludzi. Przed brzaskiem stawicie się przy wozach. Nie masz więc dużo czasu na odpoczynek. Zresztą już wystarczająco długo korzystałeś z mojej gościny.

Wszyscy, poza Valgardem, gruchnęli śmiechem. Młodzieniec skłonił się i opuścił łaźnię. Wychodząc, spojrzał na czwartego mężczyznę, który nie odezwał się dotąd ani słowem. Siedział bez ruchu i wydawał się niezainteresowany rozmową toczoną w łaźni. Po jego oliwkowej skórze nie spływała ani jedna kropla potu. Jakby gorąco nie robiło na nim wrażenia. Mijając go, Valgard skinął głową. Mężczyzna odwzajemnił pozdrowienie nieznacznym uśmiechem.

Strażnika nie było przed chatą, a wartownicy przepuścili ledwie uwolnionego Valgarda, jakby wiedzieli o wszystkim, co zaszło w łaźni. Wojownik ruszył więc samotnie w stronę północnej bramy. Za nią biegła droga do pobliskiej osady. W grodzie mieściły się bowiem wyłącznie reprezentacyjne budynki – murowane, jak książęce *palatium*, przylegająca doń dworska kaplica i kościół, oraz drewniane, zamieszkałe przez dwór, książęcą drużynę, duchownych oraz zaufane służby. Większość domostw znajdowała się poza obrębem wałów.

Tam też zatrzymali się ludzie Valgarda; wezwani rozkazem władcy, podobnie jak ich dowódca czekali na książyć wyrok. Kwaterowali w chatach na skraju wyspy, niedaleko mostu, który łączył ją ze szlakiem prowadzącym do oddalonego o dzień marszu grodu poznańskiego.

Nie napotykając po drodze nikogo, Valgard dotarł nad brzeg jeziora. W ciemności nie zauważył, że wszedł na teren, w którym miejscowi rybacy wędzili złowione ryby. W nocy było tam pusto, ale pozostał charakterystyczny zapach. Valgard poczuł głód i wielką ochotę na ciepłą strawę, której nie miał w ustach, odkąd przyszło mu korzystać z gościny Bolesława. W tej samej chwili potknął się o kamienną obudowę jednej z niecek, w których wstępnie podsuszano ryby, i wpadł w sąsiadującą z nią właściwą jamę wędzarniczą. Popiół zalegający jej wewnątrz wzbił się w powietrze i osiadł na wszystkim dookoła, wliczając Valgarda. Próbując wy dostać się z wykopu, mężczyzna podparł się dłonią, a gdy już wykaraskał się z pułapki, nieświadom, że ma rękę ubrudzoną popiołem, przetarł nią twarz. Przeklął nieprzyjazny los, otrzepał się, i ruszył dalej. Minął przyczółek mostu i podszedł do chaty, z której dobiegały urywki gorącej dyskusji.

- Niech żyje... w naszej pamięci...
- ...polej...
- ...na zawsze.
- Już nie mogę...
- ...trza księcia błagać. Na kolanach, może...
- Nikt już nic nie może... pozostała tylko modlitwa.
- Nieprawda! Nieprawda, nieprawda!
- To polej.
- Co będzie z nami?
- Będziemy... dzielni. Przecież jesteśmy wojami...
- Ale Valgard... on był nasz.
- Trzeba go odbić.

– Nie uda się, siedziba księcia mocna, murowana i ob-
sadzona drużyną...

– A nawet gdyby..., co wtedy? Z wyspy się nie wydosta-
niemy. Wszyscy damy głowy...

– Furda głowy! I tak je kiedyś złożymy!

– To może... wypijmy zdrowie Valgarda.

– Wypijmy. Nie zaszkodzi, a może się mu przydać. Da-
waj miód!

– Niech mu ziemia lekką...!

Pukanie do zamkniętych drzwi nie wywołało począt-
kowo żadnej reakcji. Dopiero gdy uderzenia pięścią Valgard
wsparł kopniakiem, od którego zadrżała cała chata, drzwi się
uchyliły. Spoza nich wyjrzała duża, okrągła i całkiem łysa gło-
wa, której wielkość nie pasowała do reszty mizernej postury,
jakby doczepiono ją do niewłaściwego korpusu. Zamglo-
ny wzrok małych, czarnych oczek zdradzał, że właściciel
tej ogromnej głowy intensywnie korzysta z dobrodziejstw
tutejszego miodu. Mężczyzna z mozołem, acz bezskutecz-
nie, usiłował skupić wzrok na intruzie, który ośmielił się
przerwać mu toast. Sięgnął po żagiew osadzoną na ścianie
i oświetlił nią przybysza, starając się utrzymać równowagę,
w czym bezcenną pomoc okazywała mu futryna, na której
wsparł się całym swym ciężarem. Z nagłą zamarł, utkwił
spojrzenie w usmarowanej popiołem twarzy Valgarda, jakiś
czas przyglądał się jej w milczeniu, aż w końcu odwrócił
głowę i krzyknął w głąb chaty:

– Zamknijcie się!

Gwar momentalnie ucichł.

– Stało się! – rzekł z całą powagą, na jaką było go stać. – Już
po wszystkim. Nasz Valgardzik został stracony i trafił do
piekła, a jego duch przyszedł nas o tym powiadomić.

Chciał coś jeszcze dodać, ale futryna przestała go wspie-
rać. Stracił równowagę i runął nieprzytomny na klepisko.